

JAROSŁAW KLONOWSKI

# MIRIAM



JAROSŁAW KLONOWSKI

# MIRIAM



 SAGA  
EGMONT

Jarosław Klonowski

# Miriam

Saga



*Miriam*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2012, 2021 Jarosław Klonowski i SAGA Egmont

ISBN: 9788726784862

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# Prolog

## Inowrocław

Rynny zwieńczone kamiennymi rzygaczami obrzucały ulicę miasta strugami wody. Buty Bartłomieja Nieciszewskiego mlaskały w błocie, rozpryskiwały wodę kałuż. Mężczyzna minął masywną, schodkową fasadę kościoła Świętego Mikołaja, gdzie spędził ostatnie osiem godzin. Obrzucił pośpiesznym spojrzeniem szczyt fasady i pokręcił głową. Wpatrując się w blendy zdobiące kościół, widział wytrzeszczone ze strachu oczy młodej inowrocławskiej mieszczy, którą tego dnia osądził. Oskarżona o utopienie trójki swoich noworodków, którego to koszmarnego czynu dopuściła się w ciągu ośmiu lat, kobieta do końca procesu sprawiała wrażenie niewinnej. Tylko że one wszystkie wydają się niewinne, pomyślał Nieciszewski.

Lało jak z cebra. Zdecydowanym więc krokiem ruszył ulicą. Wiedział, że słoty nijak nie ominie, a do domu dostać się musi. Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że Inowrocław po zmroku nie należał do miejsc ani bezpiecznych, ani przyjemnych. Jako podsędek, pan Bartłomiej najlepiej to wiedział. Od czasu gdy objął urząd, jego udziałem stało się sądzenie najgorszych możliwych przewinień, jak gwałty, rozboje i morderstwa. Do większości przestępstw dochodziło po zmroku, zupełnie jakby pobożnych mieszczan chwycił o tej porze w garść diabeł we własnej osobie, zmuszając ich do czynienia rzeczy potwornych, przeczących chrześcijańskim prawom. Tylko niewielki odsetek sądzonych stanowili tak zwani luzacy, azali pospolici włóczędzy. Najczęściej przestępstw dopuszczała się

czeladź. Fakty, choć przerażające, niezbicie na to wskazywały. Miał nadzieję, że przynajmniej pogoda powstrzyma wszystkie szuje i morderców od uczynienia krzywdy Bogu winnemu sędziemu.

Mężczyzna obrzucił szorstkim spojrzeniem niebieskich oczu zrytą koleinami ulicę i potarł wierzchem dłoni pokryty żyłkami, zakrzywiony nos. Jarmark przyciągnął do Inowrocławia mnóstwo szumowin. Jakby mało ich było w mieście. Bartłomiej nie miał ochoty na spotkanie z jakimś szukającym łącznego zarobku przyjezdnym zabijaką, któremu nic nie mówiło nazwisko sędziego. Z drugiej strony reputacja nie zawsze stanowiła ochronę. Powinien zabierać kogoś ze sobą na podobne przechadzki. Niejeden zbir tylko czekał na możliwość wzięcia odwetu na podsędku za ową kondemnatę. Ostatni raz, obiecał sobie w duchu.

Wkoło zaległy ciemności. Ulica tonęła w błocie, a spadziste dachy i drewniane okiennice ożywały stukotem kropel. Poczul ukłucie strachu. Bzdyczeję się, pomyślał. Kiedyś miał więcej od-wagi. No, aliści był wtedy młodszy, postawniejszy i sprawniejszy. Zaokrąglony brzuch i coraz bardziej zgarbioną sylwetkę udawało się sędziemu ukryć pod fałdzistym houpellandem. Gorzej, gdy

ktos zauważył drżenie rąk, azali inne objawy coraz częściej nachodzących sędziego ataków paniki. Sucha, pokryta plamami wątrobowymi przebarwiona skóra, która dawno straciła swój naturalny, różowy odcień, kontrastowała z czerwienią powłóczystych szat.

Za dużo się w życiu napatrzył. I oto efekt. Stargane nerwy i koszmary.

Nawet po zachodzie słońca w mieście trwał ruch. Nieciszewski był narażony w ciemności na rozjechanie przez olbrzymie koła wozów, stratowanie przez konie i utonięcie w pomyjach. Ktos

powinien coś z tym uczynić. We Wrocławiu zamyka się ulice na noc łańcuchami. Tutaj nie ma nawet porządnej straży miejskiej.

Nie lubił Inowrocławia. Cuchnęło tu w dzień i w nocy. Zresztą to, co cuchnęło, pływało właśnie przed jego oczami. W dużej mierze były to resztki, rybie głowy, szczyny i zwykłe pomyje. Nie tylko smród i mdłości groziły przejezdnym. Lza było ostać pogryzionym przez wałęsające się ulicami zdziczałe psy albo zarobić pałą od miejscowego osiłka.

Bartłomiej splunął w breję. Łacno tutaj o skręcenie karku, pomyślał. Wystarczy wpaść do studni. Jest też szansa, że obleją cię zza drzwi szczynami. Tutejsi Niemcy bardzo dbają o higienę. Ale nocniki opróżniają, jak wszyscy.

Lodowaty deszcz rozbryzgiwał się na twarzy mężczyzny.

- Inowrocław - warknął Nieciszewski. - Na co ja tu właściwie bydlę? Łacno tu zarobić w mordę. Łacno o trypra. Większa szansa, że wezmą cię za kogoś innego, jakiegoś bandytę, poszukiwanego za rojne gwałty i morderstwa, niż pozdrowią słowami „z Bogiem”.

Kiedy tu przyjechał, zwabiony możliwością uwolnienia się od rodziny Kościeleckich, którym służył przez większość życia, miał wielkie nadzieje. Z czasem marzenia pierzchły. Okazało się, że nadal musiał się płaszczyć przed tymi samymi osobami. Szpony Kościeleckich sięgały nawet tutaj. Powinien wiedzieć lepiej. W końcu kto zapewnił Nieciszewskiemu intratny urząd? Sam Mikołaj Kościelecki poparł kandydaturę Bartłomieja. Szantażowany przez Nieciszewskiego, który znał pewien wstydlivy i dość ponury sekret Kościeleckich, Mikołaj nie miał dużego wyboru. Być może pora na kolejny krok, pomyślał podsędek. Wszakże nadal mógł wykorzystać inne wstydlive tajemnice, skrywane przed resztą rodziny, przez Andrzeja Kościeleckiego. Bartłomiej służył bydgoskiemu staroście

praktycznie od początku i widział niejedno. To fakty z życia prywatnego starosty stanowiły podstawę do wysuwania żądań względem Mikołaja Kościeleckiego. Na samą myśl o wyczynach Andrzeja, podsędka przechodziły ciarki.

Zerwał z głowy przylegającą do czoła czapę i wyjął ją z wody. Zaklął, przesuwając palcami po sztywnych siwych włosach. Zaczynał podzwaniać z zimna zębami.

- Nieciszewski! - rozległ się okrzyk. Bartłomieja zmroziło. W jednej chwili wszystkie obawy przybrały rzeczywisty kształt. Odwrócił się. Krępy nieznajomy stał w rozkroku u wylotu schowanej między dwoma spadzistymi dachami uliczki. Cholewy jego wysokich butów niknęły w grudach błota, twarz skrywało rondo szerokiego kaptura. Za plecami mężczyzny przejechał wóz. Obcy obrócił bokiem kaptur, jakby nasłuchiwał skrzypienia osi. Potem popatrzył na podsędka.

- Musimy pomówić - mruknął stłumionym głosem.

- Nie znam cię, panie - odrzekł Nieciszewski, po czym cofnął się i ruszył w stronę domu. Zakapturzony mężczyzna spokojnie ruszył śladem sędziego.

- Nieciszewski! - zawołał nieznajomy. Bartłomiej przyspieszył kroku.

W tej samej chwili z pobliskiego zaułka wypadły konie. Tylko dobry refleks uratował podsędka przed pewnym stratowaniem. Śmierć była tak blisko. Zaledwie kilkanaście kroków dzieliło konie od zaskoczonego miejskiego urzędnika.

Za zwierzętami wychynął z mroku wóz, do którego były zaprzężone. Pokryta czarnym materiałem kolebka miała masywne, wzmacniane żelazem koła. Na koźle dostrzegł Bartłomiej woźnicę, łysego jak kolano, krostowatego łotrzyka. Powóz gnał prosto na ofiarę. Woźnica, miast zwolnić, uderzył lejcami. Szory się napięły.



- Co tu się wyczynia?! - sędzia podkasał rąb szaty. W tej samej chwili poczuł, jak ktoś popycha go do przodu. Obrócił się na mgnienie oka, dostrzegając węże obrzydliwych ran, skrzące na twarzy stojącego tuż za plecami przybysza.

- Hola! - zawołał. I tyle zdołał powiedzieć, nim stracił równowagę i padł na kolana.

- Umieraj, szelmo! - zawołał gromkim głosem nieznajomy, po czym z całej siły pchnął podsędka stopą prosto pod kopyta wierzgających koni. Zwierzęta parły, obrzucając twarz i długą szatę sędziego grudami błota. Nieciszewki zdołał zakryć głowę rękoma, po czym usłyszał chrupot, gdy kopyta zderzyły się z czerepem, przerabiając na miazgę kości żuchwy i policzki. Uszy Bartłomieja wypełnił łomot, a oczy błoto. Wciągnięte pod koła ciało przeturlało się. Szarpnęło osiami, na co kolebka podskoczyła z łoskotem. Po chwili już tylko stopy Nieciszewskiego konwulsyjnie drgały.

Nieznajomy wolnym krokiem ruszył w kierunku powozu. Kolebka zatoczyła łuk i stanęła niedaleko kościoła. Mężczyzna zawołał do woźnicy, po czym zerwał z głowy kaptur, odsłaniając

zmarszczoną twarz, pokrytą osobliwymi, przypominającymi blady liszaj ranami. Dół jego szczęki zdobiła kozia bródka. Po chwili ostre, naznaczone strupami oblicze obmył deszcz.

- Wsiadaj, byle chyżo - warknął mężczyzna z kozła. Głos miał ponury i wyprany z emocji. Morderca kiwnął szybko głową, po czym odsłonił wnętrze kolebki i zniknął w środku.

- Gdzie mam jechać? - burknął woźnica.

Ozdobione sygnetami kościste palce wychyły przez materię.

- Na Złotniki - rozległo się ze środka.

Woźnica uderzył lejcami. Raz jeszcze przejechał trupa. Ciało Bartłomieja podskoczyło, nogi obróciły się pod

niewłaściwym kątem, jakby same z siebie ożyły. Niemożliwa do rozpoznania twarz podsędka zaryła się w kałuży.

Po chwili już tylko z oddali dochodził tumult i tętent kopyt.

# Rozdział 1

## Bydgoszcz

Andrzej Kościelecki piał się po stopniach zmurszałych schodów. Mijał kolejne klatki schodowe i wnęki. Przeszedł obok trójki żołnierzy, siedzących na jednej ławie. Czarne cienie sylwetek kładły się na ścianie. Mężczyźni wzniesli zdziwione oblicza, dotąd zamroczone snem. Zamarli na widok spojrzenia Andrzeja. Bystre oczy starosty żarzyły się zimno.

Nie zatrzymał się nawet, aby ich złątać. Poszerzone od bioder klinami cotehardie Kościeleckiego wirowało za idącym pospiesznie mężczyzną. Za plecami pana Andrzeja rozszedł się szmer rozpoczętej przez strażników rozmowy. Niech szepczą, pomyślał.

Stanął przed drzwiami i poprawił szeroki pas obejmujący szatę. Upewnił się, że wszystkie guziki spinające rękaw od nadgarstków do łokcia są zapięte. Szczupłe, niemłode już podług przyjętych reguł, a przy tym trochę obwisłe oblicze z wąskim nosem i łagodnym obrysem brwi

przeciął chytry uśmiech, a podkrążone, piwne oczy rozbłysły. To był jego moment. Starosta doskonale zdawał sobie z tego faktu sprawę. Moment, na jaki czekał od dwóch i pół roku.

Kościstą, żylastą dłonią rozwarł drzwi. Obite żelaznymi sztabami skrzydła huknęły, uderzając o ściany komnaty. Mroczna sala ożywała dźwiękiem trzaskającego w kominie ognia.

Starosta dotknął przenikliwie zimnej ściany. W ciemności iskrzyły się główce pochodni, rzucając ogniste cienie na posadzkę i ściany. Podniósł wzrok na wysokie okno. Stali tam jego goście, korpulentny mężczyzna i dwie modnie odziane damy. Obie odwróciły się w tym samym momencie. Powieka Kościeleckiego zadrżała. Westchnął spazmatycznie. Poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza.

- Panie... - Mężczyzna się uklonił. Wśród jego rzadkich włosów przebłyskiwała różowa skóra. Śniada cera mężczyzny o ciemnych, skośnych oczach i wąsko zarysowanych ustach przywodziła na myśl Cygana, a może Turka. Na jego spaśnych palcach połyskiwały słabo kamienie wprawione w oczka pierścieni. Podobnie błyszcząły oczy przybysza.

- To chyba obłąd jaki? - Kościelecki rozejrzał się. Acz w wypełnionej zapachem popiołu i długimi cieniami komnacie stała tylko ta trójka. Wpił zaskoczone spojrzenie w dwie niewiasty. Wyższa, której urępnosć i sylwetka od razu przykuwała wzrok, miała na sobie obszerną odziankę z wysokim kołnierzem i dzwonowatymi rękawami.

Podwyższony stan houpellandu spinała ozdobna

szarfa. Całości dopełniała spięta srebrną obręczą chusta, spod której wyzierały kosmyki kasztanowych włosów.

Niższa, choć obrys wydepilowanych brwi i migdałowe oczy wskazywały na

pokrewieństwo z pierwszą, nie była już taka urocza.

Wielkie, ciemne oczy wydały się staroście trochę za szeroko osadzone i nieco wyłupiaste, zupełnie jakby podwijka ozdobionej kruselerem chusty zbyt mocno naciskała na szyję. Tępo zakończona broda i wąskie, nieczule ściśnięte usta sprawiały, że kobieta marniała na tle pierwszej, zapewne młodszej siostry.

Obie się ukloniły, odsłaniając dekolty. Kościelecki mimowolnie zwrócił uwagę na kształtne piersi ślicznotki. Po

chwili nie mógł już oderwać łapczywego spojrzenia od smukłej, kobiecej sylwetki. Mierzył łabędzią szyję i bladą, nakrapianą piegami twarz. Niewiasta miała wspaniałą, świeżą, bladą cerę. Nagle zapragnął tej kobiety.

- Czemu się tak na mnie gapisz? - przywołała go do porządku ruda. Nie podobał się jej wzrok tego posuniętego już w latach, żeby nie rzec podstarzałego, mężczyzny.

Skronie przyprószył

śnieg, a jemu nadal się wydawało, że jest w pełni wigoru i sił.

- Przepraszam, zali ja jeno... - Kościelecki się zmieszał.

- Ty zali jeno co?! - Nie odrywała ostrego spojrzenia od gospodzina.

- Doszły mnie słuchy o twej urępnosci, pani - odparł starosta, mając nieodparte wrażenie, że bełkocze. Starął się patrzeć w innym kierunku. - Acz słowa nie oddawały tego, co ujrzałem. Jesteś, pani, Katarzyną Telniczanką, prawda? Wybacz. O żadnym obłędzie nie może być mowy. Nie, wobec twej, pani, urody.

- A jednakowoż gdy tu wszedłeś, nie byłeś tego taki pewny. - Kobieta ściągnęła brwi. - Co to za obłąd? Upraszałiśmy o spotkanie ze starostą bydgoskim. To chyba żaden nietakt, skoro przybywamy od króla? Jestem zdziwiona takim przyjęciem. I mam, zdaje się, po temu prawo.

Głos niewiasty był zaskakująco suchy i beznamiętny. Nie spoglądała na starostę. Wolej gdzieś poprzez niego. Patrzyła z wyższością, jakby sama pochodziła ze znacznie lepszego świata.

- Jestem Lenhardt Hohensteiger - wtrącił się jej towarzysz. Mężczyzna wyciągnął pulchną dłoń z pergaminem. Pismo przecinała czerwona wstęga, spięta ozdobionym pieczęcią lakiem. - Przynoszę pisma od Jego Miłości Zygmunta.

Uroczysty ton męczyzny napełnił Kościeleckiego odrazą. Wiedział, kogo ma przed sobą. Hohensteiger był mieszczaninem z Ołomuńca, który wkupił się w łaski pochodzącej z Moraw szlacheckiej rodziny Ochstatów i poślubił Małgorzatę Ochstat, brzydszą z dwóch sióstr, które od kilku lat mieszkały na dworze. Druga, Katarzyna, była oficjalną kochanką króla i matką trójki królewskich bękartów. Choć złośliwi twierdzili, że żadną szlachcianką nie była, a swą małą fortunę zawdzięczała hojności króla, nikt nie potrafił tego udowodnić. Wszakże do Moraw było daleko. Dalej niżli do Wawelu.

Kasia, podług plotki, od prawie od roku sypiała z Andrzejem Kościeleckim. Przynajmniej tak miarkował starosta, zanim ujrzał swoich gości. Katarzynę, znaną na dworze jako Katarzyna Telniczanka, widział bowiem pierwszy raz na oczy. To nie była kobieta, którą znał. Co więcej, pierwszy raz ja na oczynki obaczył.

I absolutnie nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

- Cóż mu mu jest? - Katarzyna rozejrzała się, szukając poparcia u siostry. - Pobladł strasznie... Może niezdrów? Wygląda, jakby miał zamiar zemdleć. Może biegaczki dostał?

- Kasiu, gdzie twoje maniery? - rzuciła jej siostra.

- A gdzie jego maniery?! - zawołała Katarzyna, łapiąc się pod boki. - Dopominamy się gościny na kasztelu. A on nas traktuje, jakbyśmy byli włóczęgami z gościńca.

Jej ostry głos wywołał w Kościeleckim złość.

- Dopominamy?! - powtórzył natężonym głosem.

- A jak ci się zdaje? - W głosie Katarzyny zabrzmiała nieco jadowita słodycz. - Myślisz, że z jakiego powodu tu jesteśmy, panie? Dla tych kilku nic niewartych świstków?

- To królewskie epistoły - zauważył z naciskiem starosta.

- I co z tego? - Telniczanka wzruszyła ramionami. - Chyba nie sądzisz, panie, że sporządził je własną prawicą



Zygmunt? Zapewne nawet nie wie, że te dokumenty powstały.

- Spokojnie... - wtrącił się Hohensteiger, usiłując jakoś zażegnać spór. - Jesteśmy od kilku dni w drodze. Zdążamy do Gdańska, na spotkanie z przedstawicielami hanzy. Zamierzaliśmy się zatrzymać na kasztelu najwyżej na jedną nockę. Wraz z jutrznią odebramy się.

Katarzyna prychnęła.

- Natychmiast pośle do „Zgorzelca” - odparł rzeczowo Kościelecki. - Chętnie oddałbym własne komnaty, niestety, jak i reszta zamku, są w remoncie. Przykro mi. Za epistoły zaś, panie, dziękuję. To mówiąc, niemal wyrwał pergaminy z rąk mieszczanina.

- Azali pan wie, z kim ma do czynienia?! - nie poddawała się Katarzyna. Popatrzył na niewiastę spode łba. Na usta cisnęła się zaczepna odpowiedź, acz w końcu z niej zrezygnował.

- Nie odsyłam was byle gdzie - oznajmił. - I nie mam, niestety, wyboru.

Zaśmiała się nieszczerze.

- To niedorzeczne. - Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

- Małgosiu, chodźmy. Same znajdziemy sobie nocleg w tej dziurze.

- Pani, ja zaiste... - Starosta powiódł za kobietą wzrokiem.

- Ja też zaiste. Dobranoc, starosto.

Lenhardt poczerwieniał i nabrał wody w usta. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się odziany w wams wąsaty mężczyzna. Zmierzył Katarzynę wzrokiem, zmrużył głęboko osadzone, ukryte pod czarną grzywką oczy, a potem podszedł zaaferowany do starosty.

- Co znowu? - wysyczał Kościelecki, widząc przed sobą Piotra z Zagajewic. Podstarości nachylił się do ucha

Andrzeja i wyszeptał coś tak cicho i szybko, że chyba prędzej dałoby się zrozumieć bzyzącą w komnacie muchę. Hohensteiger zamarł, jakby od słów mężczyzny zależało jego życie, a obie kobiety odwróciły się, zaskoczone tą kolejną, tym razem już całkowicie jawną oznaką lekceważenia.

- Jeszcze raz - zażądał Kościelecki, na co Piotr ponownie się pochylił. - Katarzyna Telniczanka oczekuje cię, panie, w komnatach - rzekł podstarości, po czym podejrzliwym wzrokiem zmierzył trójkę nieznajomych.

Andrzej złapał mężczyznę za oba ramiona. Ścisnął boleśnie palce.

- Odprowadź naszych gości do „Zgorzelca” - niemalże warknął. - Zadbaj, aby wszystkiego mieli w bród. Najlepsze kwatery. Na mój rachunek. Jasne?

Katarzyna Telniczanka prychnęła, znikając za drzwiami. Piotr runął w pędzie do drzwi, prawie potrącając Małgorzatę.

- Panie, pragnę usprawiedliwić zachowanie mojej... - podjął Lenhardt.

- W porządku Hohensteiger - rzekł Kościelecki. - Nie jestem zły. zaiste. Później pomówimy.

Starosta był myślami gdzieś bardzo daleko. Mieszczanin uśmiechnął się słabo i kłaniając raz po raz, dołączył do kobiet już w drzwiach.

\*\*\*

Komnata tonęła w ciemnościach, rozrzedzonych blaskiem polan dogasających we wnętrzu kaflowego kominka. Od razu zwrócił uwagę na ozdobiony barwnym deseniem baldachim skrzyniowego łoża, ozywający bladą sylwetką rozebranej kobiety.

- Witaj, panie - mruknęła leżąca na brzuchu niewiasta. Wyprężyła się niczym kotka i podnosząc obie nogi, zaczęła kołysać stopami w górę i w dół. Powitała starostę lubieżnym uśmiechem i pełnym namiętności spojrzeniem czarnych oczu. Zmrużyła powieki pokryte krzykliwym, złotym makijażem. Wzrok niewiasty spoczął na Kościeleckim. Była cudowna. Aż dech zapierało. Czarne oczy dziewczyny miały kształt migdałów. Nad nimi wisiały pięknie ukształtowane, grube brwi.

Andrzej stał znieruchomiały i obserwował kochankę. Makijaż, manele oraz gęste, pokryte olejkami czarne włosy - to było wszystko, co na sobie miała. Przekręciła się na bok i podparła brodę na łokciu. Ujrzał ciemne drażnięta.

- Co ty tu robisz? - zapytał, zawierając z hukiem drzwi. Zmierzył dziewczę zamglonym wzrokiem. Nie była przygotowana na chłód, który usłyszała w głosie kochanka.

- A jak ci się zdaje? - nie poddawała się. Widziała go już wzburzonego. Coś musiało wyprowadzić mojego mężczyznę z równowagi, pomyślała.

- Po co tu przyszedłeś? - Zmarszczył brwi. - I jak właściwie wszedłeś do moich komór?

- Wpuścili mnie żołnierze. A po co przyszedłam, to zaraz ci powiem. A wolej, pokażę.

Obróciła się i opierając na kolanach i łokciach, wypięła kształtną pupę w kierunku starosty.

- Przyszedłam, żeby dać ci to. - Odrzuciła włosy na ramię i zaśmiała się wyzywająco.

Widział kalizdy szczegól jej anatomii. Błask pochodni migotał na krągłych krzywiznach pośladków. Zerknęła w kierunku kochanka i zamarła. We wzroku starosty dostrzegła coś ciemnego,

zwierzęcego. Złękła się.

Zerwała się z łoża i dała krok w tył, w kierunku okna. Podszedł i chwycił dziewczynę mocno za ramiona. Jęknęła,

nie wiadomo z bólu, azali podniecenia. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły na twardo spoglądającego starostę.

Mężczyzna dotknął policz-

ka dziewczyny wierzchem dłoni. Poczuł pod palcami miękkość

jej skóry. Miała takie młode, przypominające skórę brzoskwini

policzki. Zmrużone oczy posłały staroście miękkie spojrzenie.

Niewiasta zadrżała i cofnęła się.

- Kasiu. - Westchnął cicho. Poczuł, że stojąca przed nim dziewcz-

czynna staje się krucha niczym szkło.

Zacząła szeptać słodkie miłosne zaklęcia. Zafascynowany smętnym głosem dziewczyny mężczyzna spoglądał na nią nieprzytomnie. Bezwiednie odpowiedział w podobnym tonie. Co ja rzeczę? - spytał sam siebie.

Po chwili słowa nie miały żadnego znaczenia. Andrzej poczuł, jak ogarnia go fala gorąca. Ciało oszustki poruszało się, odpowiadając na dotyk palców mężczyzny. Odskoczyła, śmiejąc się do starosty migoczącymi oczami. Zwodziła go. Dał krok w stronę dziewczyny. Zakołysała biodrami, także się zbliżając. Przyłgnęli do siebie w ciemności, niczym para ślepych zwierzaków.

W komnacie zaległa cisza. Potem w szybę uderzyły pierwsze krople deszczu. Oczy dziewczyny posłały Kościeleckiemu przyzwalający sygnał. Usta kochanki dotknęły jego warg. Poddał się ogarniającej go namiętności. A potem całkiem się w niej zatopił. Runęli na łożo. Zaczęli walczyć ze sobą o każdy oddech. Dusząc się, gniotąc na sobie pościółkę i szarpiąc za włosy. Pod palcami poczuł delikatne łopatki.

\*\*\*

Stał nad nią dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że dziewczyna śpi. Zastanawiał się, co z nią zrobić. Nie może jej wypuścić bez poznania prawdy. Umierał wprost z ciekawości, kto i dlaczego wpuścił do jego łóżka tę oszustkę. Z drugiej strony usunięcie jej po kryjomu mogło nie załatwić sprawy. Musi najpierw dotrzeć do mocodawców dziewczyny. Komuś bardzo zależało, aby go zwieść. Przechytryć i oszukać. Tylko po co?

No i była jeszcze epistoła od króla. Epistoła, a wolej nominacja, dzięki której Kościelecki stawał się formalnie jedynym zarządcą kopalni w Bochni i Wieliczce. Od kilku lat pieczę nad żupami sprawował wraz z Mikołajem Jordanem z Zakliczyna i Janem Bonerem z Krakowa. Rok temu przejął zarząd nieformalnie, teraz doczekał się oficjalnej nominacji. Już wraz z przejściem bogatego starostwa spiskiego, Andrzej zaczął rozmyślać o pozostawieniu Kujaw i przeniesieniu się na południe. Przejęcie kopalni w Krakowskim było niemałym zaszczytem. Kościelecki miał powód do zadowolenia.

No, aliści cóż w tym dziwnego? Dał się poznać jako rzutki i błyskotliwy administrator. Ostatnie lata były dlań niezmiernie łaskawe. Piął się po szczeblach politycznej kariery zaskakująco szybko i, jak się okazywało, o własnych siłach. Do tej pory sądził, że zawdzięczał wszystko znajomości z Telniczanką oraz przyjaźni, którą jeszcze jako dworzanin Jana Olbrachta zawarł z młodym królewiczem Zygmuntem podczas poselstwa na Węgrzech. Przyczyniły się do tego także pożyczki, których udzielał Jagiellonom.

Wiele udanych transakcji, które doradził młodemu Zygmuntowi, zaowocowało wymiernymi korzyściami. Misje dyplomatyczne w Malborku i Budzie, zaskarbiły Andrzejowi uznanie rodziny królewskiej. Gdyby tylko udało mu się przejąć pieczę nad finansami Korony, jak od początku

zamierzał. Wykorzystałby swoją wiedzę do jak najlepszego przysłużenia się Rzeczypospolitej. Oto

co kierowało starostą. Patriotyzm i miłość do Korony. Jak wiele mógłby osiągnąć... A przy okazji zrealizowałby własne ambicje i pragnienia. Sięgnąłby po władzę... Prawdziwą, niepodzielną, płynącą z bogactwa i wpływów.

Za nominacją kryło się znacznie więcej niż nagroda za pożyczki. Król chciał mieć Kościeleckiego bliżej siebie, aby móc kontrolować jego poczynania. Zygmunt musiał słyszeć o zainteresowaniach Kościeleckiego okultyzmem. Starosta dzielił je wszakże z królewiczem Władysławem, o czym Zygmunt także dobrze wiedział.

Podczas pobytu w Budzie nieraz toczyli dyskusje o naturze kabały i demonologii. Młody Zygmunt tylko się przysłuchiwał, nie wyrażając własnego zdania. Z czasem okazało się atoli, że Zygmunt Jagiellon, nie szanuje magów i dworuje sobie z alchemii.

Dla Władysława z kolei magia była jedynie zabawą, wybawieniem od nudy. Kościelecki uważał okultyzm za środek służący do osiągnięcia wytyczonych celów. A były one zawsze takie same.

Nie zmieniły ich ani lata, ani kolejne niepowodzenia. Skupienie w swoim ręku władzy. Osiągnięcie wpływów. Bogactwo. Ambicje starosty były wszechstronne, mierzył wysoko. Służyły temu w równym stopniu rojne kontakty z krakowskimi szlachcicami, jak i próby przyzywania istot z innych sfer istnienia, których pan Andrzej dokonywał w tajemnicy. Skrupulatnie zbierając stare tomiszczą, wykorzystywał wiedzę zgromadzoną przez groźnych czarowników.

Wraz z ostatnią nominacją zamykała się pewna droga. Co teraz się stanie? Będzie musiał wynieść się z Bydgoszczy, najprawdopodobniej porzucić swoje badania i być może już tu nie powróci. Zmiana otoczenia wiązała się z potrzebą



zachowania większej ostrożności, przynajmniej przez jakiś okres. Rok, może nawet dwa lata. Na taki czas będzie musiał pozostawić swoje metafizyczne studia na boku. Staroście będą patrzeć na ręce rozliczni szpiedzy Zygmunta.

Co to wszystko miało oznaczać? I jaką rolę odegrała we wszystkim ta mała kurewka?

Kościelecki wolno zbliżył się do łóżka, biorąc do ręki pochodnię. Po krótkim namyśle podszedł do kominka i wetknął głowicę między węgle. Po chwili jasny płomień ogarnął żagiew. Podchodząc, obrzucił kształtne plecy śpiącej zadowolonym spojrzeniem.

Dziewczyna, być może czując ciepło, a może nasłuchując syku ognia, podniosła głowę i powiodła zaspanym wzrokiem w kierunku stojącego nad łóżkiem mężczyzny. W blasku pochodni twarz starosty przybrała upiorne rysy, a cień za nim przypominał kształtem skrzydlatego demona. Mężczyzna był nagi od pasa w górę. Kędziory na jego szerokiej klatce piersiowej lśniły odcieniem czerwieni, splatając się w okolicy splotu słonecznego niczym dwugłowy smok.

- Co czynisz? - zapytała zaspana. Jej gardło ścisnął nagły strach. Andrzej spoglądał obco. Jego oczy błyszczały obłędem. Sięgnęła do poręczy, przez którą przewiesiła suknię. Kopnął stołek, przewracając mebel. Rozległ się klekot, a dziewczyna poderwała się na równe nogi, umykając przed napastliwym kochankiem pod ścianę. Powiodła wzrokiem w górę, zerkając na pochodnię. Dała jeszcze jeden krok w tył. Nigdy nie widziała go takiego.

- Wiesz li co? - mruknął oschle. - Jedno mnie bardzo zastanawia. W jaki sposób zapłaciłaś żołnierzom, żeby cię wpuścili. Nie wierzę, że złotem. Mają dobry żołądek.

Parsknął, przez co jednoznaczność pytania stała się wręcz uderzająca.

- Jak śmiesz?! - Zmierzyła go srogim spojrzeniem.  
- No tak, przecież jesteś szlachcianką. Nie dajesz się chędożyć byle komu.

Runęła do drzwi, na co starosta zastąpił jej drogę i zawarł wrota ramieniem.

- Gdzie?! - wrzasnął.

- Przepuść mnie. Wychodzę.

- W tym odziewku? - Przesunął pochodnię z góry na dół. Odskoczyła, czując na ramionach i brzuchu gorąco. Stała przez moment, niczym słup soli.

- A może jeszcze im nie zapłaciłaś? - Spojrzał na drzwi. - Może tam nadal czekają?

W oczach mężczyzny zobaczyła mgłę. Jego usta ściągnęła nienawiść. Kolana dziewczyny całkiem zmiękły.

Jest zupełnie niepodobna do Telniczanki, pomyślał Andrzej. Prawdziwa Katarzyna Ochstat miała klasę dojrzałej kobiety. Przed sobą zaś, miał dziewczkę. Śniada karnacja i drobna budowa oszustki powodowały, że z daleka wyglądała najwyżej na szesnaście lat. Gęste, ciężkie włosy, sięgające dziewczynie do pasa, pogłębiały to wrażenie. Dopiero z bliska dało się dostrzec siateczkę zmarszczek wkoło wąskiej linii zaciśniętych ust i zgrabnego noska.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? - spytał bez związku. - Że ja zaiste w nas wierzyłem. Snułem plany. Konfabulacje.

Spuścił głowę. Kiedy ją podniósł, w jego oczach znowu kipiała wściekłość.

- Co ja mówię. - Pokręcił głową. - I po co ci to mówię? Nie wiem nawet, jak masz na imię.

- O czym ty...

- A jak ci się zdaje?! - wrzasnął. - Wiem, że nie jesteś tą, za którą się podawałaś.

Zamarła.

- Jakie masz zaiste na imię? - Wlepił spojrzenie w kochankę. Subtelny, nerwowy uśmiech nie zniknął z jej ust. Tak jakby znała jakiś wielki sekret, którym zamierzała się podzielić dopiero w odpowiedniej chwili i tylko ze starostą.

- Pytam cię, jak li masz na imię?! - Złapał ją za nadgarstek, acz się wyrwała.

- Zostaw! - Odskokczyła. Złapał w garść jej włosy i przystawił żagiew tak blisko twarzy, że zawyła, aczkolwiek bardziej ze strachu niż bólu.

- Sara! - odkrzyknęła, na co pchnął ją do przodu. Upadła przed nim na kolana.

- Ładnie - rzekł spokojnie, po czym zaczął jedną ręką rozsypywać portki. W drugiej nadal trzymał płonąca pochodnię

- Co czynisz? - Popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- A jak myślisz? Nadal jesteś moją kurwą. Jesteś mi winna posłuszeństwo. Tedy chodź tu i zrób to, co najlepiej potrafisz. Jeszcze się nie nasyciłem. Poprzyjaciel się ze mną. Pocałuj.

Zerwała się i stanęła twarzą w twarz z Kościeleckim.

- Nie - mruknęła. - Koniec z tym.

Uderzył ją z całej siły otwartą dłonią. Głowa jej odskoczyła, dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jak mogłeś?! - Skoczyła do oczu mężczyzny. Uderzył ją ponownie, na odlew, tak że obróciła się i upadła. Przez dłuższą chwilę zbierała się z ziemi. W końcu została na podłodze. Zgarnęła włosy. Starła przegubem krew ciekącą jej z nosa.

- Wiedzą, że tu jestem - mruknęła. - Przyjdą po mnie.

- Ach, tak? A kto taki?

Oczy mężczyzny błyszczały obłędem.

- Nikt.

- No właśnie - rzucił. Staął nad leżącą na zimnej posadzce dziewczką. Dał jeszcze krok w jej stronę, z przyjemnością widząc, jak czarnowłosa się odsuwa. Spodobał mu się strach, który zobaczył w migdałowych oczach. Brał ją we władanie powoli, jak jakie rozbolenie. Cofnęła stopy tkwiące między nogami Kościeleckiego. Podkuliła je.

- Zapłacisz li za to - wysyczała bezsilnie, choć sama w to nie wierzyła.

- Może lubo wstań z ziemi? Leżysz i mi przy tym grozisz? Nie jest to najlepsza pozycja do ciskania gróźb. Nie uważasz?

- Położenie lubi się zmieniać - odparła, tym razem pewniej.

Przez chwilę stał nad nią, jakby coś rozważał. Wreszcie podał kobiecie dłoń.

- No już dobrze - rzekł miękki głosem. - Wstańże.

Nie wierzyła w szczerść słów starosty. Odmierzyła odległość, jaką musiałaby przebyć, aby dotrzeć do drzwi prowadzących do pozostałych komnat Kościeleckiego. Runęła do wrót, modląc się w duchu, aby były otwarte. Całkiem go to zaskoczyło. Nacisnęła klamkę i pchnęła je, wpadając pochyłona do środka niewielkiej izby. Zawarła drzwi w tej samej chwili, gdy po drugiej stronie rozległ się wrzask. Po chwili drewno strzeliło, nie ustępując atoli napierającej z zewnątrz sile.

- Kurwo wszeteczna! - usłyszała przytłumiony męski krzyk dochodzący zza drzwi. Walenie się nasiliło. Spojrzała w kierunku klamki.

Wściekle za nią szarpał.

Po chwili spokoju drzwi zaatakowała przeraźliwa siła. Strzyknęły zawiasy, rozległ się dźwięk pękającego drewna.

- Odetkaj że się, panie! - wrzasnęła przerażona. W odpowiedzi zabrzmiało tylko kolejne uderzenie. Zamek

wystrzelił z framugi. Sara krzyknęła, podskakując w miejscu. Do środka, otwierając sobie drzwi następnym kopniakiem, wpadł Kościelecki.

- Przeklęta suko! - prychnął pogardliwie starosta. Dopadła do ustawionego w niewielkim pomieszczeniu klęcznika. Nie myśląc za wiele, złapała mosiężny świecznik i uniosła nad głowę.

- Ani drgnij! - wrzasnęła. Starosta uśmiechnął się pobłaźliwie i dał kolejny krok. Wtem jego ręka wystrzeliła do góry, a rozżarzona pochodnia uderzyła w świecznik. Łomot wypełnił komnatę, a dziewczyna zawyła z bólu, czując gorąco bijące z potrzaskanych palców. Kolejny cios trafił zaskoczoną ofiarę między oczy. Uderzenie pochodni sprawiło dziewczynie niewyobrażalny ból. Jej włosy zajęły się na moment ogniem.

Runęła na klęcznik, przewracając go wraz z otwartym ewangelialem. Starosta stał i spoglądał to na niewiastę, to opiąć na obrazek z Matką Boską Szkaplerzną, zawieszony ponad klęcznikiem.

- Możesz drzeć się i dłażyć szlochem do woli - rzucił. - Krzyczałaś wcześniej i także nikt nie przybiegł.

Opuścił wzrok na podrygującą w spazmach ofiarę. Włosy Sary zgasły, za to zlepiony kołtun odsłaniał czerwone bąble na policzku dziewczyny. O dziwo, pod wpływem szoku wcale nie czuła bólu.

- Czego... Czego ode mnie chcesz? - spytała, zerkając w górę.

- Kto cię wzwiódł?

- Mężczyzna. Dopomógł mi, gdy zjechałam do miasta - oznajmiła łamiącym się głosem.

- Jakiż mężczyzna?

Pokręciła głową.